N° 7. DNIA 11 MARCA 1839.

Oznajmiliśmy byli niegdyś czytelnikom naszym, iż ktoby chciał prenumerować Młodą Polskę rocznie, ten zamiast trzech franków kwartalnie, płaciłby tylko fr. 10, dwoma ratami. Dzisiaj przed rozpoczęciem nowego kwartału, ostrzegamy naszą publiczność, iż ofiarowane korzyści zmuszeni jesteśmy cofnąć, i wrócić do zwykłego trybu trzy-frankowéj kwartalnéj opłaty: a to z powodu, iż od 1 lipca mogą zajść zmiany w formacie i w sposobie wydawania Młodéj Polski, pociągające za sobą zmianę warunków prenumeraty; niechcielibyśmy zaś żadnych zagmatwań i trudności w rachunkach z nabywcami naszego pisma.

Coquimbo (Chili) 1838 lipca 31.

...... « Szczęśliwie i w dobrém zdrowiu przybyłem tu z łaski Najwyższego Boga na miejsce, d. 3 Czerwca — we cztery miesiące po wyjeździe z Paryża. Trudno byłoby w tak krótkim przeciągu czasu widzieć więcéj por roku — Za zimy jeszcze naszéj, przebiegłem część Francij i Anglji; nastąpiła potem długa żegluga, z początku przykra i burzliwa, daléj spokojna i piękna, wśród któréj zawinąłem był do Madery, do wysp Kanaryjskich, na brzegi Brezilji; obaczyłem Bahją, Rio-Jeneiro, daléj Montevideo, i ostatnich dni Kwietnia znalazłem koniec już jesieni w Buenos Ayres — Po dwudniowym tylko odpoczynku w tem mieście, ruszyłem konno na pustynię Pampa i we dwa tygodnie przebiegłem ją; daléj z Mendozy na mułach z karawanną przeprawiłem się przez Kordeliery, i obiegłszy z półtorasta mil po górach i dolinach Chilijskich, zostałem uprzejmie przyjęty przez władze tutejsze

w Coquimbo — Mieszkam już w rządowem collegium i czekam tylko na machiny i narzędzia wyprawione z Londynu do urządzenia laboratorium i gabinetów.

.... Nim jaka pewniejsza zręczność pozwoli mi przesłać szczegóły mojéj podróży, opowiem pokrótce co mi się zdarzyło od ostatniego listu.

Zmuszony byłem co najprędzéj w dalszą jechać podróż z Buenos Ayres, z przyczyny że zima nadchodziła, i Kordeliery lada dzień mogły się na długo zasypać śniegiem, a przytem mówiono o napadach Indian po drodze, o wojnie przeciw Peru i Boliwji jako też rewolucjach na prowincji — Nie było innéj rady jak ruszać konno, pocztą sposobem kuryerów, bo tym tylko sposobem można było uciec od Indian i wywinąć się między wojny i kłótnie domowe — Kupiliśmy więc dla siebie siodła i cały porządek na konie, przyjęliśmy służącego i wyjechaliśmy 29. Kwietnia o 8 rano — Prędko nam z przed oczu znikły ogrody i orome grunta w około miasta, wysokiemi kaktusami opasane — O parę mil odsłoniła się równina okiem nie przejrzana jako stepy południowe nasze — Trzysta mil téj równiny mieliśmy przed sobą, a kraj był nie ludny dziki i ciekawy — Cała wegetacja przeszłoroczna była w poschłych badylach, z pod którego młoda zieloność, soczysta trawa koniczyny i ostu wyrastała, trawa ta rośnie przez zimę i najpiękniejszą ma bydź na wiosnę — Domy a raczéj nędzne chałupy, o kilka mil jedne od drugich; oprócz nie wielkich ogródków, i gdzie niegdzie topoli, przy tych domach, nie widać drzew nigdzie, ni żadnéj krzewiny, liczne tylko trzody bydła i tysiące koni rozrzucone po stepach pasły się bez dozoru, rzekłbyś bez właścicieli — Częstokroć czerniło się coś z daleka podobnego do gajów naszych, cieszyła się imaginacja, a były to karawany stepowe liczne i wysokie wozy dwókołowe, każdy o 4ch wołach, jakby domy jakie na kilkanaście stop wysokie, któremi się utrzymuje handel skurami, zbożem i tłustością, między dalekiemi prowincjami a Buenos Ayres.

Braknie też owéj równinie pięknych płynących wód naszych:

napróżno zieloność stepowa radaby nadstarczyć téj ułomności kraju.

Małe błotne ruczaje o kilka mil jedne od drugich; gdzie nie gdzie błoto, sitowie — Nieraz w pogodny dzień gorący widziałem jakby rozległe jakie jezioro nikło przed nami, i było tylko złudzeniem — złamaniem się światła — Po tem obszarze widać od czasu do czasu w cwał przelatujących *ganezów*, tak nazywają wieśniaków tego kraju.

Ich płaszcze pąsowe, w białe lub jaskrawe pręgi tkane, pięknie odbijały od zielonego tła równiny — Ich twarze nie są dzikie ni surowe: ciemnéj cery — czarnych oczu, szerokich policzków, niosą ci ludzie na sobie typ miejscowy amerykański, kastylijską rasą uszlachetniony — Przytem lubią muzykę, śpiew; zręczni do piki, do rzucania arkanów, i do ciskania kul uwiązanych na sznurku, któremi pętają i łowią konie, i Indian, sarny i nieprzyjaciół — Żyją prawie samem mięsem, a w dobréj zgodzie z nimi zostaje całe ptastwo stepowe, żarłoczne, tuż pod ich domami, potrzebne do oczyszczania ziemi od trzewów i niepotrzebnych ogrysków — Z resztą konie piękniejsze od ukraińskich, chociaż nie większe, i może mniéj wytrwałe, woły o ogromnych rogach, jako nasze podolskie, owce podłego gatunku.

Taki to był kraj, na który wbiegłem po trzy miesięcznem życiu na Oceanie. Nazwyczajone biedz galopem konie pocztowe niosły nas jak na skrzydłach, zabraliśmy pięć koni, dwa dla mnie i dla P. L..... jeden dla służącego, jeden pod rzeczy nasze, a na jednym jechał pocztylion; poczty zaś częstokroć dalekie jedne od drugich inaczéj są w tem kraju urządzone niż u nas. Na tych albowiem stepach niemasz stajeń, a wszystkie konie zawsze są na trawie. W dzień pasą się niedaleko poczty, i skoro pocztarz zoczy podróżnego, wsiada na koń i wcwał bieży, niknie na równinie, i najdaléj w półgodziny pareset koni przypędza które wbiegają w przepłoty, a z nich potrzebną liczbę wybiera pocztylion. Wieczorem stado odbiega o kilka mil, i zaledwie o wschodzie słońca przyciąga — dla czego jest niepodobnem podróżować nocą.

Zalédwo 50 mil ujechaliśmy od stolicy, napotkały nas niedobre i zatrważające wieści — Indyanie z jednego okręgu zwanego *Federacyon*, długo posłuszni rządowi Buenos Ayres, dowiedziawszy się o wojnie i o nieporozumieniach tego rządu z Boliwią, z Francią i ze swojemi, ośmieleni jak się domyślano od malkontentów, zbuntowali się byli w tym czasie, zabili swego kacyka: i w liczbie jakoby do półtora tysiąca, zaczęli napadać na ościenne mieszkania, zabrali wiele bydła, i koni, i wiele chrześcian zaprowadzili w niewolę.

Spotykaliśmy familije uciekające, a niebyło czasu długo się rozpytywać — Ubiegaliśmy po 30 mil (15 naszych) na dzień — Siódmego dnia podróży ze zbytecznego zmordowania zachorowałem; szczęściem dopadliśmy do jednéj wsi, zwanéj *Traite Muerto*, gdzie mimo nieprzyjemnego sąsiedztwa Indyan mogliśmy półdnia odpocząć; nazajutrz (5 Maja) ruszyliśmy daléj przez stepy suchsze i równiejsze od tych któreśmy minęli. Niemiłe nam po drodze były ślady swieżych i dawnych napadów: poniszczone wsie, popalone domy, a ledwo co kilkanaście mil jaka wieś nieco szczęśliwsza, opasana rowami i murem, dla obrony od dziczy. Tu jak nam mówiono Indyanie nigdy nie pokazują się liczni, ale nigdy od nich nie są spokojni mieszkańce. Do téj powszedniéj klęski przyłączyła się była tego lata szarańcza która biednym mieszkańcom poniszczyła ogrody, pojadła kawony i kukuruzę. Pomimo zmordowania i pomniejszych przygód od których jakaż podróż była kiedykolwiek wolną, przybyliśmy 9 Maja szczęśliwie do San Luis stolicy prowincyi tego nazwania, należącéj do wiązku Argentyńskiego. Miasto a raczéj wieś smutna, domy bez okien, o płaskich dachach z cegły niepalonéj, ulice jak po wszystkich miastach hiszpańskich w Ameryce, bardzo regularne, proste, szerokie. Tu podchodzi od Kordowy łańcuch gór zmieniający postać i wejrzenie kraju. Od tego miasta do Mendory, równina acz sucha i nieco piaszczysta, wszędzie krzewami i karłowatem drzewem porosła; spokojna od Indyan, a pełna strusiów, papug i tygrysów. Trzeciego dnia po wyjeź-

dzie z San Luis przyjechałem do Mendozy. Miasto piękne prawie u stóp Kordelierów na żyznéj równinie położone, liczy do 10,000 mieszkańców. Wyjąwszy środek złożony z kościołów i porządnych domów, reszta miasta między ogrodami i winnicami rozrzucona, niemniejszy zajmuje obszar od Paryża. Domy chowają się między przypychem drzew i winogradu. Cała prawie wegetacya przyniesiona z Europy wybujała tu i daleko wyprzedziła swoich rodaków na starym lądzie. Pomarańczowe drzewa są jak ogromne jabłonie po staroświeckich sadach naszych. Prowanckie oliwy są prawie jałowcem przy tutejszych, które zdaleka wydają się jako rozłożyste wierzby; przy tem winograd rzęsisty czepia się po wysokich drzewach, spada z topoli na topolę tworząc piękne girlandy jakby od umysłu uwite. Były już powiększéj części bez liści europejskie drzewa, a w powietrzu jakaś cichość i umiarkowane ciepło jesienne.

Swieżo przybyli z za Kordylierów ludzie ostrzegli nas że już wielkie sniegi spadły na górach i przeprawa nie łatwa. Na szczęście znalezliśmy w Mendozie wracającego do San Yago stolicy Chili człowieka, dobrze świadomego drogi i dobre mającego muły, który się nas obowiązał przewieśdź do pierwszego po tamtéj stronie gór miasta za 21 piastrów. Nie było zatem czasu czekać, i zaraz nazajutrz po przybyciu do Mendozy, w dalszą puściliśmy się drogę. Jechaliśmy powoli a noclegi nasze były pod gołém niebem między skałami. Niewprawny goral, z łatwością jednak i przyjemnie podróżowałem po owych drogach wązkich, które podróżni zowią *ladezami*, a które po pochyłościach gór, po nad głębokiemi parowami idą w rozmaite kierunki. Niemasz niebezpieczeństwa, — krok mulicy pewny i powolny: a w miejscach spadzistych, zwierze to za każdem postawieniem nogi probować zdaje się kamieni czy dobrze osadzone. Rzec mogę, że w drodze od Mendozy przez Uspallerta aż prawie pod sam wierzch Kordylierów odpocząłem po dwu tygodniowym galopie po stepach. Miejsce przykre i mniéj bezpieczne poczyna się bardzo wysoko, tam gdzie się zaczynają śniegi. Przeprawa zazwyczaj jest ciężką

pod koniec Maja, w Czerwcu i na początku Lipca; albowiem w tym czasie wielkie spadają śniegi, zasypują drogę i wszelkie rozpadliny, a zachwycony między skałami podróżny nie wie gdzie się obrócić. Pod koniec Lipca śnieg twardnieje, i w tenczas po wierzchu łatwiéj jest podróżować. Za rządu hiszpańskiego pobudowano w tem niebezpiecznem miejscu przy drodze, co półtory mili, domki, do których w razie zamieci i niepodobnych do przebywania śniegów chronią się podróżni, i w nich czekają póki im zapas żywności dozwoli. 16 Maja w jednym z takich domków nocowałem u samego szczytu Kordelierów przy górze *Cumbre*. Nazajutrz o świcie stały już obładowane i osiodłane muły, a silny wiatr ze śniegiem wiał od zachodu. Ruszyliśmy, na przodzie jechał jeden górnik świadomy miejsca i prowadził klacz z dzwonkiem za którą cała karawana mułów iść nawykła; za górnikiem jechał drugi młodszy do porady, za nimi szły muły lóżne, potem obładowane mulice które trzeci służący popędzał. *Arriero* czyli sam gospodarz był jako dobry wódz wszędzie, a w najtrudniejszych miejscach prowadził sam karawanę. Na jéj końcu jechaliśmy z moim kollegą po drodze nie źle już udeptanéj. Nierozwidniało jeszcze było kiedyśmy zaczeli się piąć na wierzch *Cumbre*, co chwila tracono drogę i nieraz stromo bez drogi pięły się muły nasze z kamieni na kamienie, i po szyję zapadały do śniegu. Przewodnicy i arriero bezustannie hukali zwyczajem swoim, a muły jak gdyby posłuszne ich głosowi trzymały się porządku. Mroźny wiatr sypał nam w oczy zlodowaciałym śniegiem; siły i cierpliwość ustawać zaczęły, kiedy koło południa zawołał górnik żeśmy już na wierzchu. Pobiegł arriero, rozpatrzył się w skałach, i całą karawanę w prawo skierował. To było miejsce trudne do przeprawy, bośmy się znaleźli nad jakąś stromą rozpadliną. Pierwszy *arriero* zlazł z muła a za nim przewodnicy; pozsiadać musieliśmy, i czekaliśmy śród zamieci: tuśmy stracili jedną mulicę i przewodnicy na niebezpieczeństwo narażeni byli. W parę godzin potem wiatr wolnieć począł, śnieg przestał padać, i spostrzegliśmy daleko na stronie jeden z domków o których wspominałem. Do tego

więc szliśmy bez drogi, przed wieczorem dostaliśmy się doń, nie bez trudu i przygód. Tuśmy przenocowali, a nazajutrz śnieg topnieć począł; bezpiecznie dojechaliśmy na miejsce gdzie się poczynała wiosna; 19 Maja byłem już na pięknéj dolinie okrytéj kwiatami, pod pięknem niebem Chiliyskiem a w kilka dni obaczyłem Ocean Spokojny, ostatnią granicę mojéj podróży na zachód. Spuściliśmy się z gór po za rzeką Quillota aż do miasteczka tego nazwania, gdzie po cztero-dniowym odpoczynku, w dalszą drogę pojechałem na północ. Było jeszcze więcéj sta mil do Coquimbo, krajem po większéj części suchym, skalistym, obfitującym w kopalnie złote i miedziane. Ostatek ten podróży spokojny był, nie mordujący, dosyć przyjemny, i posłużył mi nieco do poznania kraju i mieszkańców.

Pod koniec tego roku spodziewam się mieć już urządzone laboratorium, i jeśli mnie nadzieje nie zawiodą, pewien bydź mogę że przynajmniéj nie zabraknie mi na zatrudnieniach które temu krajowi kiedyś korzyść przyniosą. »

JENERAŁ SKRZYNECKI W BELGII.

Pod tym tytułem, *Kronika* w swoim numerze 7 Marca, umieściła artykuł o którym zamilczeć nie możemy z powodu pewnéj *parcyalności* dającéj się w nim spostrzegać. Podzielamy zdanie *Kroniki* co do przymiotów niektórych Jenerała Skrzyneckiego, nieskażonego jego charakteru, i zaszczytnéj dla niego opinii europejskiéj; lecz świadomi rzeczy, nie przypisujemy wyłącznie usiłowaniom polskim powołanie Skrzyneckiego do Belgii.

Kronika któréj na materjałach o ile wiemy nie zbywało, nie wspomina nawet o Hr. Montalembert, wiedząc jednak dobrze iż jemu *jedynie* winniśmy sprowadzenie Skrzyneckiego. Na to miast powiada : *iż myśl umieszczenia Skrzyneckiego w Belgii, po raz pierwszy przez X. Czartoryskiego powzięta datuje o ile jej wiadomo od lat sześciu*. My jéj odpowiadamy; iż ta myśl była wspólną *nie jednemu Polakowi* upatrującemu w tem korzyść dla spra-

wy narodowéj, lecz że ta myśl żadnego by owocu nie przyniosła przy małym wpływie i znaczeniu Emigrantów Polskich, gdyby jeden z głównych przyjacioł Sprawy Polskiéj, Par Francyi, Hr. Montalembert, wyłącznie się nie zajął jéj uskutecznieniem. Dodać nawet należy iż ten pomysł do niego *pierwszego* należy. Jakoż po uprzedniem wyrozumieniu w tym względzie króla Belgijskiego, odebrał od niego, w niu 22 Listopada b. r., polecenie sprowadzenia Skrzyneckiego do Belgìi. Na ów czas przedsiewzięte zostały najstosowniejsze środki, i tak dalece wszystko się odbywało staraniem i pod wpływem obcym , iż koszta nawet podjęte zostały nie przez Polaków lecz przez Belgów. Od dawnego czasu Hr. Montalembert zamyślał wyswobodzić Skrzyneckiego z pod straży austryjackiéj, i kiedy zapytywał jednego z ministrów francuzkich, jak rząd będzie uważał przyjazd Skrzyneckiego do Francyi, ten odpowiedział: iż Jenerał Skrzynecki najlepiéj zrobi jeżeli się do Francyi nie uda. Dajemy te objaśnienia gdyż byłoby to uwłaczać naszemu gorliwemu przyjacielowi, i zataić dla niego wdzięczność naszą, przypisując komu innemu jak jemu sprowadzenie Skrzyneckiego do Belgii. Ma prawo się szczycić z ważnéj przysługi którą oddał Sprawie Polskiéj, i jak powiada *attacher son nom à cette affaire.* My zaś jesteśmy upoważnieni do udzielenia tych szczegółów naszym czytelnikom.

NEKROLOGI.

W Grudniu roku 1838 umarł w Wilnie wzorowych cnót obywatel Kazimierz Szwejkowski; który w pierwszéj młodości po odebraniu starannego wychowania, przed rokiem 1794 był Sekretarzem przy Ambassadzie Polskiéj w Berlinie — a zaś po nowych klęskach rozszarpania Ojczyzny, mimo to że szukał pociechy w zaciszu domowem, wzy any przez wybory ziomków do urzędów, pełnił one ze scisłością bezinteressowną — w pożyciu przyjemność, słodycz, były to znamiona spokojnego sumienia— powszechnie szanowany jako cnotliwy obywatel małżonek i ojciec, po kilko-niedzielnéj słabości zchodząc z tego świata w prze-

szło 70 leciech życia miał tę pociechę, iż syn jego nieodrodny Kazimierz Szwejkowski który z dalszemi uczniami uniwersytetu Wileńskiego trafił dostać się do obrońców sprawy narodowéj w roku 1830, dzieląc dziś z rodakami tułacze losy, jest młodzieńcem pięknych nadziei. — Zaszczycony od roku 1794, przyjaźnią zmarłego, składam na grobie jego ten hołd uwielbienia.

Włodzimierz Gadon.

— Dnia 10 Lutego o godzinie 5 rannéj zmarł w Orleanie Maxymilian Dąbrowski rodem z Warszawy. Przed rewolucją służył w batalionie saperów. Od lat czterech zamieszkały w Orleanie pracował przez ośmnaście miesięcy w fabryce lania narzędzi żelaznych, lecz przy nadwątlonem zdrowiu widział się być zmuszonym opuścić to zatrudnienie i od roku zajął się dawaniem lekcii niemieckiego języka w szkole wyższéj normalnéj. Choroba piersiowa przyśpieszyła zawczesny zgon jego. Umarł mając zaledwie lat 33, unosząc z sobą powszechny szacunek na który tak u swoich jak i u obcych potrafił za zycia zasłużyć. Uczniowie i nauczyciele szkoły normalnéj, wielu nauczycielów z kollegium, polacy w Orleanie zamieszkali i znaczna liczba tamecznych mieszkańców towarzyszyła pogrzebowi do kościoła S. Wawrzyńca a następnie do cmentarzu S. Jana. Nad grobem ziomek Gronostajski w mowie francuzkiej oddał cześć pamiątce zmarłego i złożył publiczne podziękowanie Panu Vaillantdyrektorowi szkoły który przez cały czas choroby naszego spółwygnańca miał nad nim ojcowskie staranie i koszta pogrzebu opłacił. Miło będzie rodzicom zmarłego, gdy dojdzie do nich smutna wieść o zgonie ich syna dowiedzieć się przynajmniéj że w ostatnich chwilach mieli zastępcę w cnotliwym P. Vaillant który tak chrześciańską oddał ich synowi posługę.

Pozostała ruchomość po ś. p. Max. Dąbrowskim jest do dyspozycii jego rodziny. Zgłosić się trzeba do Półk. Janowicza w Orleanie mieszkającego.

— Juljan Szacfajer rodem z Litwy, rozstał się z tym światem

d. 6 Lutego b. r. w mieście St. Lô (departamencie de la Manche). Do powstania narodowego wszedł z innymi spółuczniami uniwersytetu wileńskiego — Miał lat 27.

— Z *Warszawy*. Znany z prac swoich nad językiem polskim Józef Mrozinski, były Jenerał b. wojsk polskich umarł w nocy z dnia 15 Stycznia w 55 roku życia. Dzieło jego : *Zasady gramatyki języ. pols. odpowiedź na recenzją i rozprawy*, w dziele deputacyi b. Towarzystwa przyjaciół nauk, znane są aż nadto publiczności, izbyśmy tu ich wartość przytaczać mieli na usprawiedliwienie, jak wielką stratę literatura nasza przez śmierć Mrozinskiego poniosła.

— W tej chwili odbieramy wiadomość że Leon Przecławski odebrał sobie życie w Montpellier — O szczegółach jego zgonu doniesiemy poźniéj.

Wiadomości Rozmaite.

Berlin 28 Lutego. Od kilku dni mówią tu o nocie dyplomatycznéj którą Francja i Anglja miały przesłać gabinetom Pruskiemu i Austryackiemu, żądając objaśnień z powodu wezwania jakie te gabinety zrobiły do rządu Belgijskiego o wydalenie Jenerała Skrzyneckiego ze służby. Pomienione wezwanie uważanem jest za targniecie się na niepodległość Króla Belgów, sprzymierzeńca Francji i Anglji. Dodają, że nota tem więcéj nabiera ważności, że Minister spraw zagranicznych i Vice Kanclerz Rossji, Hrabia Nesselrode, przesłał był dworom Berlińskiemu i Wiedeńskiemu adres podziękowania, w którym przyjęcie polaka rewolucjonisty do armji belgijskiéj, uważa za jawny krok nieprzyjazni przeciwko trzem mocarstwom co podzieliły Polskę. Jeśli rząd belgijski nie ustąpi, trudno mu będzie wrócić do przyjaznych stosunków z Austrją i Prusami.

— Hr. Anastazy Dunin, Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański, skazany został na dwadzieścia lat więzienia, do fortecy.

Kronika Emigr. Pol. w N[rze] pierwszym Tomu ósmego umieściła następujący list z Polski pod datą 5 lutego 1839.

«..... Rząd zajmuje się teraz, szczególniéj, rozprzestrzenieniem w królestwie rossyjskiego języka. Głownym w téj mierze działaczem jest Szypów godny następca Novosilzoffa. Niewiem czy przyrzekł Carowi wynarodowić za lat 10 Polaków, ale wszystkie jego kroki, podług mnie bezskuteczne, zmierzają ku temu. W szkołach tyle tylko dokazał, że język rossyjski i historya wykładana *ex officio* po rossyjsku, zajmują uczniom cztery godzin na dzień, reszta nauk wykłada się po polsku. Niemożna atoli patrzeć bez wzruszenia z jakim zapałem, bierze się teraz nasze młode i poczciwe pokolenie do polskiego języka; zda się że instynkt ich wiedzie do ratowania tego co jest zagrożone, i może czyściéj mówią po Polsku niż ich ojcowie po ostatnim rozbiorze. Szaniawski zrobił plan dla szkoły politechnicznéj, lecz od dwóch lat Car namyśla się nad jego zatwierdzeniem. Kazano mu (Szaniawskiemu) przedewszystkiem wyrzucić wyraz: *politechniczny*, tak jest obmierzły Moskalom. Pozwolono nazwać szkołę: handlową, fabryczną, *techniczną* nawet, byle nie *polit*. Z służalców Moskwy, robią się, jak widzisz, patryoci. Linde siedzi na ustroniu i żałuje za popełnione grzechy. Rautenstrauch oparł się niedawno zaprowadzeniu rossyjskiego języka w obradach Rady Administracyjnéj, oco nastawał Szypów. Rautenstrauch powoływał się na artykuł Statutu, wedle którego wszelkie czynności urzędowe w królestwie, mają się odbywać po polsku; okazano mu drugi, w którym Car zawarował sobie zmieniać statut jak mu się podoba. Rzecz na chwilę ucichła, ale we trzy tygodnie odebrał Rautenstrauch z Petersburga nominacyą na członka komitetu w Petersburgu, od któréj to godności wymówił się jedynie słabością zdrowia, otrzymawszy tym sposobem nieznaczną przestrogę, aby się tak bardzo na artykuły niepowoływał.

Przywożenie broni do kraju i strzelba myśliwska ciągle zakazane. Wolno mieć tylko jedną strzelbę i dwa funty prochu na

jeden folwark. Proch sprzedaje się jedynie w Cytadelli Warszawskiéj. Każdy posiadający proch powinien być opatrzony książeczką, w któréj urzędnik sprzedający proch zapisuje datę kupna; należy ją okazywać przy każdem nowem kupnie. Łatwo pojmiesz iż przy tak małych ilościach na raz sprzedawanych, przy takiéj konkurencyi amatorów z całego kraju, przy takiéj mitrędze w zapisywaniu, ścisk musi być wielki. Jakoż, ujrzysz codziennie przed Cytadallą Warszawską długie ogony czekających z książkami póki na nich koléj nieprzyjdzie, w podobieństwie waszych ogonów Paryzkich przed Teatrami. Czasem trzy dni czekać potrzeba nim się prochu dokupisz. Ale jest na to ratunek. Sprzedają towar zakazany żołnierze i żydki, gdyby nie oni możeby nas oddawna wilki pojadły. Obywatele kupują proch żołnierski, niebezpieczniéj, ale rząd choć wie, przez szpary patrzy, bo przekonany że na to nie ma ratunku. Rozeszła się w tych czasach wieść, że Bank chwieje się w swym kredycie, za nadto podejmuje interessów, a wiadomo jaka kryzys spotkała wiele Banków zagranicznych, które sobie naznaczyły zakres za nadto obszerny. Administracya pożera ogromne summy; rozkazy arbitralne; już to nie to co pod Lubeckim i przy dozorze Izb Sejmowych. Tak to najzbawienniejsze instytucye marnieją, skoro się dostają pod rząd despotyczny i nienawistny obywatelom. Dałby Pan Bóg żeby to była nieprawda; mówię tylko o pogłoskach; ale gdyby się ziściły byłaby to klęska narodowa; zginęłyby majątki wdów i sierot, depozyta sądowe. Kto wie czy się Moskwa tajemnie nie raduje z tego nieszczęścia; wygnała już agencyą Banku z Berdyczowa. »

Księgarnia Józefa Zawadzkiego w Wilnie ogłosiła prospekt na *Pan-Lexikon*, czyli słownik powszechny francuzko-polski, zawierający w sobie wszystkie znajome dotąd wyrazy i sposoby mówienia francuzkie oddane polskiemi, lub objaśnione. Słownik składać się będzie z dwóch tomów in 8, każdy około tysiąca stronic.